Cena 50 gr.

PRZYJACIEL PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I — Marzec 1936 — Nr. 3

MARJUSZ DAWN

zdjęcia EDWARDA KOCHA

SMUTNO W SZPITALU

Wrażenia z kliniki na Grochowie

ZDROWI I CHORZY

Jak wiadomo, szpital jest to instytucja utrzymywana przez społeczeństwo w celu leczenia oraz izolowania chorych.

Zdrowi z parlamentów, gmin wiejskich, rad miejskich, jaczejek i fasciów decydują o tem czy poduszki chorych mają być wypchane pierzem czy nabite słomą, bandaże tanie, uwierające, czy miękkie i elastyczne, dieta pożywna, smaczna czy wstrętnie jałowa i czy w szpitalu nie trzeba będzie skąpić narkotyków konającym w męczarniach. Odpowiedzi na wszystkie te pytania zawiera budżet szpitalny — budżet zatwierdzony przez zdrowych.

Uboga wyobraźnia oszukuje człowieka zdrowego, stawiając między nim a chorobą iluzoryczny mur stumetrowej grubości.

Kiedy po naradzie nad resortem szpitalnictwa panowie mówią sobie: „wstąpmy do baru", to, zgodnie z doświadczeniem Pawłowa, ślinka zwilża im język, czują w ustach smak przekąski, zapach wódeczki lub piwa, a w uszach dźwięczy im słodko brzęk kieliszków. Ale gdy w



Auskultacja

czasie posiedzenia skreślają pozycję „remont wentylacji sal" — z kolumny odrzuconych cyfr nie bije w nich woń jodoformu, ropy czy potu. Człowiek dąży do przyjemności, ucieka od przykrości. Takie jest prawo psychologji.

Któż słyszał aby jakiś gabinet ministerjalny przewrócił się na budżecie resortu zdrowia? Któż widział kiedy transparenty rewolucyjne z napisem: „Żądamy sprężynowych materaców dla szpitali!" albo: „Precz z cłami na lekarstwa!"?

Niejeden zdrowy, decydujący o uposażeniach szpitali, przekona się na własnej skórze, jak smakują oszczędności, za któ-



Zbrodniarz podaje łapę

remi oddał głos. Wobec coraz rzadziej ukazującej się Opatrzności, woźny powinien, w czasie obrad nad szpitalami, zawieszać tablicę z napisem: MANE TEKEL FARES.

Szpitale są naogół bardzo ubogie. Biedna też nad wyraz jest Klinika Weterynaryjna — filar zdrowia powszechnego.

W klinice leczy się ambulatoryjnie wszystkie zgłaszające się zwierzęta. Pensjonarjuszami kliniki są niemal wyłącznie konie i psy.

PACJENCI KLINIKI A CYWILIZACJA

Klinika Weterynaryjna służy, rzecz jasna, przedewszystkiem interesom ludzkim. Zwierzęta korzystają na tem drogą pośrednią. Tu uczą przyszłych weterynarzy leczyć bydło przeznaczone na rzeź i rozpoznawać mięso po uboju. Tu zapobiega się wściekliźnie i innym chorobom zakaźnym, przenoszonym przez zwierzęta. Tu człowiek dostaje pomoc lekarską przy ratowaniu swego przychówka. Tu chirurgja doświadczalna powinna torować drogę sztuce operowania ludzi.

Pominąwszy pacjentów płatnych, dla których rezerwuje się pewną ilość miejsc, nie każde zwierzę chore można umieścić w Klinice.

Spośród zgłaszanych przypadków profesor danego oddziału wybiera i przyjmuje wypadki najciekawsze, przedstawiające wartość naukową i pedagogiczną.

Niestety, taksamo u psów jak u ludzi rzadko kiedy błaha dolegliwość okazuje się ciekawa. Toteż psy kliniczne są przeważnie ciężko chore. W swoich ciasnych, oszczędnościowych, źle wentylowanych pomieszczeniach wyglądają jak kłębki cierpienia, jak esencja nieszczęścia.

Człowiek, leżąc na łóżku szpitalnem, ma zawsze jakąś wiarę w skuteczność bolesnych zabiegów i wypływającą z niej nadzieję. Pies w klinice zapada się w wiry rozpaczy. Jakby za karę, że chory — idzie do żelaznej, ciasnej klatki. Trudno, nie można psów poukładać w łóżkach na ogólnej sali, bo pogryzłyby się jak nieprzymierzając niektórzy młodzieńcy na sali wykładowej.

Dezynfekcja — to dla psa tylko smród. Izolacja — niewola. Operacja — cierpienie beznadziejne. Opatrunek — strach. Szpital — samotność, tęsknota, dno psiego piekła.

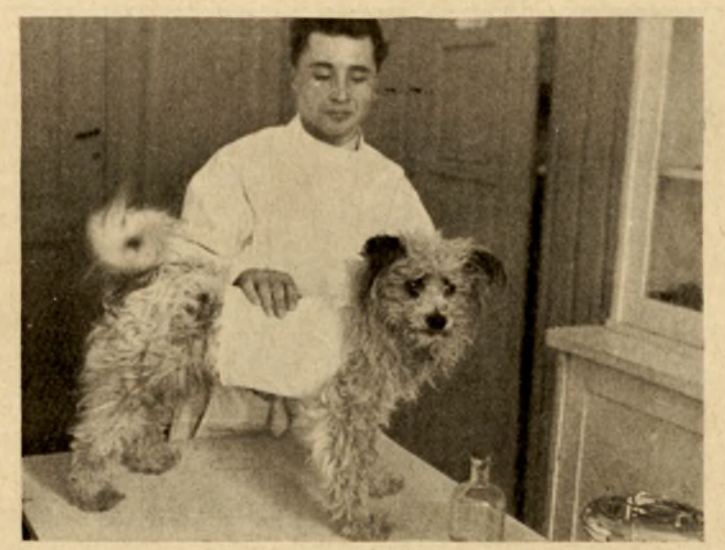
Klinika jako placówka naukowa ma dla swego „materjału" poddostatkiem lekarstw, pokarmów, opału. Psy dostają rosołki, jajka, i jeśli tylko mogą jeść, po ćwierć kilo mięsa na „osobę". Wolno nawet sprowadzać dla nich te skuteczne (a przez zdrowych urzędników obłożone embargiem) lekarstwa, których człowiek chory nie dostanie w aptece. Rzecz inna, że manipulacje na komorze trwają czasem dłużej niż życie pacjenta. Ale to już są „szczegóły".

W Klinice nie uprawia się wiwisekcji. Do tego służy Zakład Patologji. Jeżeli tylko organizm pacjenta pozwala na to, wszelkie zabiegi chirurgiczne wykonywa się pod narkozą lub pod miejscowem znieczuleniem. Wymaga to nieraz bardzo skomplikowanej aparatury, ponieważ gwałtowne objawy pooperacyjne, szczególnie u zwierząt dużych, są niebezpieczne i dla zwierzęcia i dla otoczenia. Człowiek po operacji nie zrywa krępujących go bandaży, koń, pies drze wszystko na strzępy. W szafach naszej ubogiej kliniki leżą modele przyrządów ortopedycznych i pomocniczych, chirurgicznych, jakich używa się w Anglji, w Niemczech, w Szwecji. Leżą pod kluczem, stanowią bowiem ilustrację do wykładów. Nasze psy i konie korzystają z aparatów robionych siłami miejscowemi, według projektów i dyrektyw prof. Eugenjusza Wajgiela. Materjały dobiera się tanie; w granicach budżetu. Smętek tych wyjaśnień przypomina mi rubrykę „Ofiary" w „Kurjerze Warszawskim": „Kaleka błaga o protezę...". Nie, zwierzętom na szczęście nie potrzeba protez!



Dwie dobre dusze

„Między chirurgją ludzką a zwierzęcą — pisze prof. Wajgiel — zachodzi różnica wartości idealnej przedmiotu zabiegu chirurgicznego". Pies czy koń, okaleczony i zeszpecony, traci swoją wartość i nikt poza zakochaną w piesku starą panną nie



Po zabiegu

stara się utrzymać przy życiu zwierzęcia-kaleki.

Może tu nareszcie — myślę z ulgą — skraca się męki skazanych na śmierć. Może koń za swój żywot pracowity, pies za swą wierność dostaje od mądrego człowieka łaskę dobrej śmierci. Tu chyba nie zaszywa się brzuchów, w których znaleziono raka z przerzutami — wyrok śmierci na dystans paru tygodni lub miesięcy tortur.

Niestety, cywilizowany dwunóg ma w delikatnych sprawach ciężką łapę.

W wielu wypadkach, szczególnie wtedy gdy zwierzę jest cenne, rasowe, męki jego ciągną się dniami i nocami, aż do chwili gdy zjawi się właściciel i da pozwolenie na zastrzyk do czwartej komory, na błyskawiczną, lekką śmierć. W szpitalu tradycja, religja — tu znów święte prawo własności stoi na straży integralności cierpień.

Szef kliniki, który nie czekając na placet właściciela, wydaje nakaz uśpienia skazanego zwierzęcia, naraża się nieraz na wielkie przykrości. Mimo to są lekarze, którzy podejmując ryzyko obmów, skarg o odszkodowanie i histerycznych awantur, nie odmawiają zwierzęciu pociechy łagodnej, nieprzytomnej śmierci.

GŁUPI SENTYMENTALIZM

Lekarze kliniczni mają ciężki los z sentymentalnymi przyjaciółmi recte przyjaciółkami zwierząt. Szczególnie, na najważniejszym odcinku swej pracy: przy walce z wścieklizną. Wścieklizna jest w Polsce istną plagą. Ilość zarejestrowanych pokąsań wynosi kilkanaście tysięcy rocznie. W Anglji, w krajach skandynawskich wścieklizna nie istnieje; w Niemczech (u psów) notują kilka wypadków rocznie, i to przeważnie u tych, które przeszły przez granicę.

U nas człowiek, który przyprowadza psa do kliniki, ma trojakie uczucia: po pierwsze, boi się wścieklizny, po drugie, boi się szczepienia, po trzecie, żal mu psa. W rezultacie kłamie, kłamie jak młodzieniec u wenerologa. Uprzedza, że pies jest napewno zdrowy, bo przecież nie wałęsał się nigdzie, nie zadawał się z żadnemi psami. Tyle tylko, że ma trochę gorączki, skaleczył się, nie chce jeść i pić:

— Czy pogryzł kogo w domu?

— Broń Boże! Ani ludzi, ani zwierząt.

Lekarz zbadał psa i zrozumiał odrazu, że jego właściciel pragnie przechytrzeć czczem słowem surową rzeczywistość.

Niema u nas przymusu szczepienia ludzi. Trzeba perswadować, tłumaczyć. Z chłopami jeszcze pół biedy, bo ten sam chłop, który walczy z dezynfekcją i strzeże tyfusu jak oczka w głowie, przed wścieklizną zna mores. Natomiast mieszkańcy miast nie wierzą, aby ich ukochany Bibi czy Tutuś mógł zachorować na coś co w mowie potocznej jest obelgą. „Taki dobry, taki łagodny, skądżeby to do niego".

Niedawno pod Warszawą między psy uganiające się po rynku wpadł pies wściekły. Psy zaczęły gryźć się między sobą. Nie można było dać sobie rady z walczącą gromadą, część psów rozbiegła się i pogryzła konie i krowy. Chłopi pod dowództwem lekarza powiatowego zrobili naradę i nocą wybito wszystkie psy i całe bydło, które nosiło ślady skaleczeń. Zrobiono to cichaczem, żeby wieść o tem nie doszła do Ligi, aby poza stratą materjalną, nie narazić się na przykrości ze strony przyjaciół zwierząt.

Liga, jak słyszę, nie postępuje rozsądnie w tych sprawach. Pozwala sobie na zgłaszanie skarg i pretensyj opartych na amatorskich lub przestarzałych wiadomościach z weterynarji. Damy z Ligi żądają



Panowie, ja bardzo wrażliwy!

sekcji mózgu psów, które zgładzono po stwierdzeniu wścieklizny. Tymczasem t. zw. ciałka Negriego znaleźć można w mózgu wtedy, gdy pies zmarł na wściekliznę śmiercią naturalną. I to nie w każdem miejscu mózgu. Stąd rekryminacje, że na klinice morduje się niepotrzebnie psy zupełnie zdrowe.

Cóż za niepokojące pomieszanie pojęć i uczuć! Dama zjada kotlet ze zdrowego cielaczka, potem idzie do krawca naradzić się nad kostjumem na zabawę zwaną polowaniem, a wieczorem pisze memorjał w sprawie zbadania mózgu psa, którego zabił okrutny lekarz, bez serca, bez sumienia...

Strach patrzeć na psa wściekłego, zamkniętego w ciasnej klatce. Ciało rozsadzane dynamitem szaleństwa. Jak płaski, jak fałszywy jest sentymentalizm ludzki wobec powagi takiego cierpienia!

Oto jakaś urocza damulka przyszła odwiedzić swego ulubieńca. Pyta się o niego tak żałośnie, tak cicho, że lekarz ledwo ją słyszy. Załzawione oczy podnosi wgórę (na gentlemana, który jej towarzyszy).

— Szkoda, że pani nie przyszła wcześniej, — mówi lekarz — zwierzę jest stracone, męczy się.

Damulka jest bliska omdlenia. Majstruje coś koło rzęs. Gentleman poczuł, że jeżeli ożeni się z nią, posiędzie najczulszą kobietę na świecie. Damulka zrozumiała jego wzrok i uśmiecha się boleśnie, lecz słodko. Pies, karta w jej grze erotycznej, okazał się atutem.

W szpitalach ludzkich widuje się podobne sceny. Zdrowi mają o każdej porze dnia i nocy mnóstwo interesów własnych i nie potrafią wniknąć w istotę cudzego cierpienia. Nie słyszą S. O. S. bólu.

W ARESZCIE ŚLEDCZYM

Na klinice jest jeden pokój przeznaczony dla psów podejrzanych. Człowiek pokąsany powinien dopilnować, aby pies który go zranił przebył dwa tygodnie pod obserwacją lekarską. W razie jeśli pies jest wściekły, termin ten wystarcza do postawienia diagnozy.

Jak w każdem więzieniu, tak i tutaj człowiek w imię bezpieczeństwa własnego niezawsze postępuje sprawiedliwie. Są tu psy, które gryzły, drażnione przez ludzi, są inne, dzikie, których nikt nie uczył grzeczności, i jeszcze inne, chore. W jednej klatce leży wspaniały setter, pogodny, leniwy, w innej siedzi olbrzymi wilk, pod oknem kilka kundelków dygocze w gorączce, a przy drzwiach w największej klatce bawi się piłką najpiękniejszy w świecie, wesoły, jasnoszary buldożek.

Każdy, kto wchodzi do aresztu, rozmawia z bulciem: „Kogoś to pogryzł, huncfocie, że cię tu wpakowali?". Różnie o tem mówią. Podobno jego pan poszczuł go na kogoś, i za to teraz pies siedzi. Jeżeli to prawda, psa powinni wypuścić, a pana wpakować do klatki i oddać pod obserwację. Trudno zgadnąć tak na oko, który pies jest zdrowy a który chory; skłonni jesteśmy przypuszczać, że każdy pies o łagodnej powierzchowności jest zdrowy jak orzech. Tak wygląd decyduje czasem o losie człowieka-więźnia!

Smutek moich rozmyślań rozjaśnia wejście psiego sanitarjusza, które wywiera magiczny wpływ na zamknięte zwierzęta. Stają na zadnich łapach i prócz kundelków, oddzielonych od świata oparami maligny, psy sympatyczne i psy ponure walą ogonami w klatkę i wysuwają łapy. O buldożku lepiej nie wspominać, przylepił poprostu płaski nos do kraty, przy której stanął sanitarjusz. Nareszcie trochę wesołości w smutku szpitalnym! Kto wie, może sędzia śledczy wysnułby z tego pewne wnioski bardzo obciążające dla dozorcy. Może przemyca uwięzionym grypsy w postaci nadetatowych porcyj mięsa? A może udziela psom oskarżonym o wściekliznę urlopów zdrowotnych? Mam wielkie podejrzenie, że tak jest. Faktem jest, że pan sanitarjusz był dwadzieścia razy szczepiony i że mimo to nie boi się psów,



Podejrzany

pozwala się lizać i gładzi je gołą ręką. Jego pogodna, dziecinna twarz uśmiecha się mile do zamkniętych zwierząt.

Skończmy na tem dobrem wrażeniu zwiedzanie kliniki i wyjdźmy na ulicę, gdzie śpieszą się, rozpychają, „walczą o byt" ludzie zdrowi, pragnący stanąć „mocno na nogach" z taką determinacją, jakgdyby każdy z nich był ze stali, z żelaza, z betonu.

Miłe złudzenia, szanowni państwo!

Nasze psy



Kay, setter irlandzki (własność Janiny i Zdzisława Czermańskich)



Morus, mops (własność Ireny Wasiutyńskiej)



Barry, bernard (własność dr. Roberta Nadelmana)



Dawid, skye-terrier (własność Wacława i Ireny Zyndram-Kościałkowskich)

RENA KRZYWICKA

Obszczekam psa!

O suce Dolmie, kotce Wobicy i Trystanie i Izoldzie

Wszyscy, którzy piszemy do „Przyjaciela Psa", wszyscy którzy to pismo czytamy, zgodzimy się z pewnością, że nietylko lubimy zwierzęta, ale że bez nich życie wydałoby się nam mocno zubożone. Jednakże — jakiegoż heroizmu wymaga moje oświadczenie na łamach tego pisma! — nie każdy pies zasługuje na naszą przyjaźń i szacunek. Niema rady, trzeba odrzucić mdłe sentymenty i nie roztliwiać się łatwo nad wszystkiemi psami, trzeba raczej zdać sobie sprawę z różnic indywidualnych jakie między niemi zachodzą. Żaden prawdziwy przyjaciel psa nie będzie utożsamiał bęcwała o mętnem spojrzeniu i ospałym pysku ze szlachetnym okazem dygocącym od nerwowej inteligencji. To pies i to pies, ba, ale jaka różnica!

Miałam sukę Dolmę... Ale najpierw, ze strachu przed redaktorem „Przyjaciela Psa", w którego posiadaniu znajdują się rodzice Dolmy, Voss i Fuga, muszę zaznaczyć, że ta Dolma, o której będę miała wiele przykrych rzeczy do powiedzenia, potrafiła urodzić nadzwyczaj sympatyczne szczeniaki, które rychło prześcignęły ją zarówno inteligencją jak zaletami charakteru. Jestem najdalsza od zamiaru oczerniania całej rodziny.

Zato Dolma! Pies-idjota, pies-kretyn, niepozbawiony wdzięku, ale opanowany przez mnóstwo najgłupszych narowów, pełen absurdalnych niekonsekwencyj. Airedale-terrier czarny i ryży, z kosmatą gębą i sympatyczną ruchliwą truflą zamiast nosa, prezentowała się pięknie dla snobów, natomiast słynna była z brzydoty w całej Podkowie Leśnej, gdzie nieraz otrząsano się ze wstrętem na jej widok: „cóż za brzydactwo!", „co za potwór!", — wołano, gdym z nią szła, — „nawet za dopłatąbym jej nie wziął". Takich rzeczy musiałam się nasłuchać, póki wreszcie dobroczynna oświata nie nadpłynęła ze stolicy i nie zmieniła słów wstrętu na słowa uznania. Natomiast do ludzi prostych uroda Dolmy nigdy trafić nie mogła, i temu zawdzięczam zapewne że jej nie ukradziono, pomimo moich najszczerszych życzeń w tym względzie.

Dolma bowiem miała nietylko zwyczaj kopać wielkie doły w ogrodzie, ale nadto z pasją podkopywała się pod parkan, za każdym razem w innem miejscu, i gnała gdzie oczy poniosą. Do ogrodu przez wykopane dziury nałaziły stopniowo obce kury, nieznajome psy śmigały wzdłuż i wszerz. Często dzieciak jakiś wpełznął aby coś ściągnąć. Dolma tymczasem hasała po całej Podkowie, deprawowała psy, które się do niej wykopywały zza płotów, albo ganiała z niemi we frenetycznym pędzie tam i spowrotem wzdłuż płotów, szczekając zajadle, przyczem od strony ogrodów nie zostawała żywa ani jedna trawka, ani jeden krzaczek. W ten sposób Dolma stała się postrachem moich sąsiadów. Gdzie się włóczyła całemi dniami, a często i nocami, tego nikt nie doszedł. Czekaliśmy z dnia na dzień że zawlecze nam wściekliznę. Jej dzikie wędrówki tem bardziej zadziwiały, że Dolma była tchórzliwa. O ile nie latała, leżała skulona pod drzwiami mieszkania i napraszała się do wnętrza. Wyła ze strachu gdy się coś poruszyło w ciemnym krzaku i uciekała panicznie. W letnie noce łobuzy okoliczne bezkarnie plądrowały ogród. Dolma nie wydawała z siebie głosu. Natomiast gdy się z nią szło na spacer, gryzła dzieci na ulicy, i to w niej było najbardziej antypatyczne.

Tak tedy wszystko robiła naodwrót. Na tarasie lub w pokoju kładła się tylko na stole, i nawet bicie nie pomagało. Po długiej wędrówce wracała do mieszkania jedynie poto aby zostawić po sobie wielką kałużę na podłodze. Kiedy raz w nocy wróciłam do domu, a dzwonek przy furtce się zepsuł, nie zaszczekała, nie podbiegła na moje rozpaczliwe kołatanie, drapała się tylko i ziewała rozpaczliwie na progu mieszkania, póki wreszcie kotka Wobica nie zaalarmowała służącej gwałtownem miauczeniem. Zato w ulewny deszcz i najczarniejsze błoto obskakiwała wszystkich bez wyboru, kładąc ludziom na piersiach i plecach gomóły gliny.

Jedną miała jasną cechę charakteru. Kochała Wobicę. Wylegiwały się często razem, i Dolma od czasu do czasu oblizywała biały pyszczek kotki długim jęzorem. Wobica odwracała głowę ze wstrętem, widać było że ją mdli od tych karesów, ale ceniła dobre intencje i nie odchodziła. Kiedy Wobica urodziła kocięta, Dolma przelała na nie swoje uczucia. Wtykała nos między rojące się ciałka i lizała je troskliwie. Wobica, która odpędzała groźnie pięknego Szarusia, męża swego i ojca dzieciom, pozwalała suce gospodarować wśród kociąt. Dosłownie pies im mordę lizał.

Żeby się już całkiem odróżnić od normalnych psów, Dolma praktykowała najbardziej zadziwiającą cnotę. Przez dwa lata była dziewicą. Jak to się stało na wsi, gdzie trudno psa upilnować, nie potrafię objaśnić. Z ojcem swoim, pięknym, męskim Vossem, miała raz gorące spotkanie, ale i tak z tego dzieci nie było. Po trzech latach wreszcie wydałam ją niemal przemocą za psa jej rasy. Urodziła dziesięcioro szczeniąt. Ale i wtedy nie opuściła jej absurdalna pomysłowość. Mając wytworną budę, a prócz tego posłanie przygotowane w pokoju, urodziła dzieci swoje w niedostępnem zagłębieniu pod tarasem i przeleżała tam z niemi całą zimną, śnieżną noc marcową. Dopiero rano pozwoliła je wyciągnąć i przynieść do mieszkania.

Dowiedziawszy się o tym porodzie, czemprędzej przyjechałam na wieś. Wtedy to po raz pierwszy i jedyny poczułam jakieś porozumienie między mną a nią. Dolma wypadła do mnie jak szalona z okropnym załzawionym krzykiem i dysząc, płacząc, przypadła mi do nóg. Nie skakała jak zwykle, tylko krzyczała przeraźliwie i z rozpaczą, opowiadając mi dzieje nocy ubiegłej. Na słowa ludzkie w przybliżeniu tłumacząc, miało to znaczyć: „Okropność! Straszne bóle! Przerażająca noc! I teraz nagle kupa dzieci! Patrz jaka kupa! Co to znaczy? Skąd tu tyle tego? Dlaczego całe czarne? Co z tem robić? To nie są airedale! Ja ich nie znam! Ciągną mnie za piersi! Łażą po mnie! Wstrętne! Ohyda! Nie chcę tak dłużej! Co teraz robić?".

Jakoż nie była dobrą matką. Strząsała je wciąż niecierpliwie ze siebie. Kładła się tak żeby nie mogły jej ssać. Wciąż stała przy drzwiach, patrząc błagalnie żeby ją puścić, żeby raz uciec od tej rodziny, której nie chciała, która ją brzydziła. Więcej się te szczeniaki nasmoktały smoczka niż piersi matczynej.

Zmartwiona, przyłożyłam najsłabszego szczeniaka Wobicy, która tego samego dnia urodziła kocięta. Wobica była dumna i szczęśliwa. Przygarniała szczeniaka łapą, wyginała się rozkosznie i nadstawiała mu się niemal lubieżnie. Jej trójkątna twarz uśmiechała się radośnie. Cóż kiedy jej mały cycuś był niby zabawka dla bezzębnej czarnej paszczy otwartej żarłocznie, nie wypełniał jej, nie dawał się pochwycić i ssać. Wobica, upokorzona i wściekła, z trudem dała go sobie zabrać.

Jasna rzecz, że Dolmy niczego absolutnie nie można było nauczyć. Nie służyła do niczego, do niczego się nie poczuwała, nie chciała nic zrozumieć. Poza skłonnością do włóczęgi miała jeden silny afekt w życiu: nienawidziła koni. Kiedy siedząc na tarasie domu, usłyszała nawet z dużej odległości turkot wozu na drodze, puszczała się pędem przez cały ogród, ścinając już nie w biegu, ale w locie wszystkie kwiaty swemi stalowemi łapami, rozorywając świeżo obsiane zagony. Gnała pędem jak pocisk bez głosu, aby z zachrypłą wściekłością dopaść płotu i skoczyć na siatkę jak rozjuszona pantera z rykiem, z obłędem. Koń cofał się, wspinał, ludzie klęli, a Dolma gnała wzdłuż ogrodzenia rycząca, szalona, z dzikim grymasem pyska, tratując wszystko, ścinając roślinę pędem swoim, niby sekatorem. Zato do ogrodzenia mógł wejść kto chciał, witała go obojętnie lub owacyjnie, nie szczeknęła nigdy, choć raz wtoczył się na podwórze pijany, innym razem napastliwy żebrak omal nie pobił służącej.

Razem z Wobicą urządzała polowania na psy przychodzące wraz z gośćmi z wizytą. Najpierw ukazywała się Wobica, długa i jadowita jak wąż, wypełzająca ze wszystkich kątów, sycząca wściekle i skacząca prosto do oczu. Pies, przerażony tym białym, cichym i trującym smokiem, podtulał ogon pod siebie, przymykał oczy i piszcząc cicho z mitycznego przestrachu, miotał się po pokoju albo po ścieżce, szukając ucieczki. Wobica dwoiła się, troiła, i była już zgóry tam, prędsza od myśli, gdzie pies niespokojnym nosem węszył wyjście. Wtedy nagle wypadała Dolma, gwałtowna, silna, hałaśliwa, rzucała się na przybysza, przewracała go ciosem swego ciała i rozpoczynała piekielną zabawę czy walkę. Dzikie skoki, plątanina ciał, ryk, kwiki, rzuty łapami, tempo zawrotne, szarpanie uszu i ogona, tłamszenie, gniecenie, wściekła akrobatyka. Koło tego kłębowiska, z którego dolatywał coraz głośniejszy kwik ofiary, pełzał biały płomień Wobicy, walący pazurami w bezbronnie nadstawiany pysk czy łapę, syczący, zabijający żółtemi iskrami oczu. Z narażeniem życia należało się rzucić w ten piekielny taniec, wyrwać ogłuszonego nieszczęśnika z pazurów i zębów kociopsiej koalicji.

Przykro mi, że tak dalece musiałam obszczekać Dolmę, ale na usprawiedliwienie psiego rodzaju dodam, że z podobnym typem spotkałam się po raz pierwszy w życiu. Po trzech latach, bezradna, zmeczona walką z jej fantastyczną indywidualnością, z jej przytłaczającą głupotą, oddałam ją znajomemu policjantowi. Zatrzymałam sobie tylko parkę jej dzieci. I o dziwo, wbrew prawom dziedziczności, Trystan i Izolda są subtelne i delikatne, obowiązkowe i chciwe wiedzy, umiejące nawiązać kontakt duchowy z ludźmi. W dziedzictwie po matce została im przyjaźń z kotami. Są wzorowe, jakby wyszły z różowej bibljoteczki dla psów, cenione i szanowane ogólnie, i zwolna udaje im się zmazać ciemne wspomnienie, jakie pozostawiła w Podkowie Leśnej ich matka.

Pies w sztuce



Dzięki uprzejmości p. Aleksandra Piskora, udało się nam pozyskać dla „Przyjaciela Psa" nieznany rysunek Juljusza Kossaka, wykonany w r. 1846 w Jarczowcach, majątku Juljusza Dzieduszyckiego

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Pies à thèse

czyli list do Kornela Makuszyńskiego

Kochany Kornelu! Zdziwi Cię ten rodzaj „recenzji", bo zapewne rzadko spotykasz sprawozdania z Twoich książek w perjodykach poświęconych zasadniczo psom. Zaraz się wytłumaczę! Napisałeś prześliczną rzecz p. t. „Wyprawa pod psem" *), gdzież więc, jeżeli nie na łamach „Przyjaciela Psa", powinieniem Ci za tę powieść podziękować?

Książkę Twoją czytałem, — o, to dziwny zbieg okoliczności — w dniu, w którym wydarzyła mi się rzecz następująca. Miasto Biała poprosiło mnie o odczyt na temat stosunku człowieka do zwierząt, ponieważ zaś w takich wypadkach prawie nigdy nie odmawiam, przeto wybrałem się do tegoż miasta pożyczonem od brata autem. Na kolanach siedział mi pies (przyjaciel mego brata), opierając głowę o plecy szofera. Ten Kim inaczej nie jeździ, musi bowiem przez calusieńką drogę wyglądać oknem, interesując się bez wyjątku wszystkiem, co tylko zobaczy. Bardzo inteligentny scotch-terrier. Komik dyskretny ale taka pokraka, że człowiek musi się śmiać na jego widok.

Otóż jadę z tymże Kimem, aby wygłosić odczyt o dobroci człowieka wobec zwierząt. Jedziemy, jedziemy, jedziemy. Ja zastanawiam się, coby też powiedzieć w owej Białej, Kim znowuż, a właściwie Kimuś, notuje skrzętnie wszystkie objawy życia po drodze. Już niedaleko od celu podróży, na zakręcie, zwalniamy tempa. Naprzeciw nas idzie jakiś stary chłop z kijem w ręce. Raptem słyszę brzęk. Szofer błyskawicznie zatrzymuje auto, chwyta chłopa za chaderę a Kim za portki. Boczny reflektor (t. zw. „Sucher") strzaskany i rozbita szyba.

— Dlaczegoście to zrobili!? Co wam winien reflektor, stary durniu!?

— E, panie, jo nie w sybę chciołem uderzyć, ino w psa...

Szofer, to barczysty i żylasty człek, a ja także nie ułomek. Obu nas swędzą ręce. Bo właściwie niema innego sposobu, tylko sprać na kwaśne jabłko. Mityguję się jednak, w szoferze zaś także zgrzytnęły wszystkie hamulce. Chłop ma chyba pod siedemdziesiątkę. Jakże bić takiego dziada?! Żeby to był młodzieniec przynajmniej w moim wieku, knock-out możnaby uważać za rzecz przesądzoną. Kipi we mnie i bulgoce bezsilna złość. Psa chciał uderzyć! Psa, który mu nie zrobił nic złego, który siedzi najspokojniej w samochodzie i nawet nie szczeka! Już nieboszczyk Rej powiada w „Wizerunku", że „dobry człowiek psa nie drażni" — czyli że ten chłop musi być skończonym drabem. Och, wyrwać mu ten sam kij z garści i połamać na grzbiecie! Skuć bez litości to bydlę w ludzkiej skórze!

Za godzinę mam w sali „Pod Czarnym Orłem" wygłosić odczyt o dobroci wobec zwierząt! A tu będę bił lichą imitację człowieka w postaci siedemdziesięcioletniego psubrata!?... „Psubrata"? Po namyśle cofam to wyrażenie jako eufemizm, jako pochlebstwo. Zresztą, działając w afekcie, mógłbym go uśmiercić. A wogóle bić człowieka? Nie, lepiej dajmy pokój. Wstydziłbym się przez całe życie! Ostatecznie, ukarać trzeba i to surowo, ale nie kijem. Nie pozostaje nic innego jak zabrać go przymusowo na odczyt do Białej. Niech przynajmniej za karę wysłucha moich słów! I specjalnie dla tego drania gadałem przez blisko dwie godziny. Niech ma za swoje!

Tak, drogi Kornelu, zdarzenie najautentyczniejsze pod słońcem. Mam świadków, a Kim gotów nawet przysiąc. Wieczorem tegoż samego dnia, już w Krakowie, przy kolacji rozciąłem Cię tępym nożem i zabrałem się do czytania. Ależ to rozkoszna książka ta „Wyprawa pod psem"! Można przy takiej lekturze odmłodnieć. Książka pełna optymizmu i promieni słońca, którego Ci tak zawsze zazdroszczę. Nie o to jednak idzie. I nie o sceny, godne najlepszych kart Londona, więc np. ta chwila gdy ciężko ranny pies zamiera z rozkoszy pod dotknięciem ręki chłopca. Gdy mu ślubuje przyjaźń. Nie będę tu pisał o humorze, o dickensowskich epizodach. Tu, w „Przyjacielu Psa", muszę zabrać się do tej powieści z innej strony.

Twój pies, „Apasz", bohater książki, pies-djabeł, pies-zbój, pies-widmo, pies-rzezimieszek... Ach, nie wytrzymam i muszę zacytować bodaj kilka zdań. „Stało się jednak coś czego psie serce nie miało już nigdy zapomnieć: chłopiec objął ręką jego szyję i uniósłszy łeb, przytulił go do swej piersi. Dzikie serce zalała błogość tak niezmierna, jak cały świat, większa niż ta szeroka woda, większa niż piekący ból. Ból stał się mizerną sprawą. Najważniejszą jest to, aby ten mały człowiek zrozumiał, że pies nie uczyni mu krzywdy, że nie zmiażdży ręki i nie rozszarpie piersi. Pies mówi o tem szybkim, gorącym pomrukiem, ale człowiek, istota niedoskonała, zapewne tego nie zrozumie; należy mu dać znak oczywisty, we wszystkich psich pokoleniach od tysiąca wieków znany i używany: ostrożnie, jakby nieśmiało, wysunął język i dotknął nim chłopięcej twarzy. Wtedy chłopiec silniej go przytulił i zabrał jego psią duszę, zdobywszy ją na zawsze"...

Musiałem to zacytować, a honorarjum za tych Twoich, rodzonych, kilkanaście wierszy zwrócę Ci sumiennie albo je wspólnie przepijemy, coś tam dołożywszy. Więc Twój pies, Apasz, ma duszę. Ma piękny charakter. Ma honor nieskazitelny. Wspomniany powyżej Kim, vulgo Kimuś, to wobec niego pies inteligentny, wyszczekany, ale posiada zaledwie ambicję. Honor Apasza jest w gatunku wyborowym. Pies o najwyższej kulturze uczuciowej. Jego miłość do małego pana jest żywiołowa, ale równocześnie subtelna, delikatna. Apasz odznacza się nieprawdopodobnym taktem i do zenitu posuniętą dyskrecją. Co tu dużo gadać: pies à thèse!

Mówiąc o dotkniętym wścieklizną chłopie spod Białej, użyłem w pierwszym impecie wyrażenia „psubrat". Powiadają, że przysłowia są mądrością narodów, według prof. Bystronia zaś „przysłowie jest pojęciem wyłącznie praktycznem". Otóż mamy w Polsce podobno 412 przysłów odnoszących się do Boga. W „Encyklopedji staropolskiej" Glogera znalazłem tę cyfrę, przyczem dowiedziałem się, że jako najpopularniejszy temat przysłów zaraz po Bogu idzie szczęście, potem chleb, następnie pies. Koń jest dopiero piąty skolei, ponieważ istnieje tylko 264 przysłów końskich. Specjalnie przyjrzałem się polskim „psim" przysłowiom, aby stwierdzić, że znakomita ich większość mówi tylko i wyłącznie o... biciu psa. Jeżeli zaś słuszność ma cytowany już prof. Bystroń, utrzymując, że „każdorazowy zasób przysłowiowy jest złożony z licznych warstw, które odpowiadają chronologicznie pewnym epokom rozwoju", niezmierzone mnóstwo polskich psich przysłów świadczyłoby, że stosunek nasz do zwierzęcia był stale okrutny, prawdziwie barbarzyński, nieludzki. Cogorsza, w zwierciedle owych przysłow odbija się pies jako synonim czegoś godnego tylko największej pogardy, jako wcielenie wszelkich wad, niewdzięczności, najgorszego charakteru. Psubrat, psiamać, psy wieszać, zejść na psy, nie dla psa kiełbasa, słowem — psiakrew i tyle! Przekonać może o tem nas zarówno Adalberg jak Fr. Brzozowski. Z pracy Morawskiego p. t. „Zwierzęta w przysłowiach, przypowieściach, przenośniach i porównaniach języka polskiego" dowiaduję się, że kto chce psa uderzyć, ten znajdzie zawsze okazję, aby to najwierniejsze, najbardziej przywiązane, szlachetne zwierzę zohydzić. Nawet rośliny, czyto pospolite, czy trujące, nawet grzyby za byle co dostają epitet „psie". Więc psie goździki, psie wiśnie, psi język, psi ząb, psibluj, psidławiec, psiary i t. d. i t. d.

Oczywiście, i w innych językach mamy do czynienia z taką samą prawie obfitością pogardliwych zwrotów i przysłów, jakiemi szafuje się pod adresem rzetelnego przyjaciela człowieka. Zresztą niektóre przysłowia zwierzęce pewnie są obcego pochodzenia. Np. fredrowska „Kto ze psy lega, ze pchły wstaje". To chyba przyniosła Bona w XVI w.: „Chi dorme coi cani, si leva colle pulci". Mniejsza z tem! Wydaje mi się jednak, że bierzemy międzynarodowy rekord w przysłowiach oryginalnych, poświęconych psu i psa szkalujących. Zważmy, że przeciętny Polak mówi na dzień około sto razy „psiakrew". Tejże psiekrwi nauczyły się od nas czasu wielkiej wojny armje niemiecka i austrjacka. Obecnie zaś, gdy jakiś „Kościuszko" czy „Polonia" przybija do egzotycznych portów, np. afrykańskich, to już najdalej w godzinę po wylądowaniu naszych rodaków Arabowie Algeru czy Marokka albo Hiszpanie z wysp Kanaryjskich prawie bez błędu powtarzają: „Szakrefff! Kolerra! Gorrąso!" (autentyczne!).

Nawet pobieżny przegląd psiej paremjografji polskiej ugruntuje nas w przekonaniu, że psom dzieje się u nas zawsze krzywda. Dzieje się także i obecnie! Już małe dziecko rzuca na psa kamieniem, kopie go, bije, a stary chłop z przyzwyczajenia podnosi nań sękatą lagę. Oby mu ręka uschła! Oby zeszedł na psy! Oby go ludzie nie mieli za psi ogon! Oby wszystko co zrobi było psu na budę! Oby na nim psy wieszali! Oby... Dam już pokój tym przekleństwom.

Napisałeś „Wyprawę pod psem". Ale właśnie wyrażenie „pod psem" służy w Twej powieści innemu celowi. Chciałeś udowodnić i udowodniłeś, że pies ma rycerską duszę i serce wierne, które bije tylko dla człowieka. Książka Twoja ma pierwszorzędną wartość wychowawczą: uczy dobroci, czyniąc to bez nudnej dydaktyki, lecz w sposób niezwykle prosty i piękny. Dlatego też, wchodząc w prerogatywy ministerstwa oświecenia, gorąco ją polecam polskim szkołom. Niech co roku w dniu imienin św. Franciszka z Asyżu czytany będzie głośno ten ustęp, z którego fragment podałem.

Dziękuję Ci serdecznie w imieniu własnem. Oraz w imieniu wszystkich psów czy innych a tak po barbarzyńsku w Polsce traktowanych zwierząt, których bronię i bronić nie przestanę. A jak mówi stare przysłowie, u nas „biją psa, nie że zawinił, lecz że kij w ręku mają"...

*) **Kornel Makuszyński.** Wyprawa pod psem. 8 ilustracyj i okładka kompozycji **K. M. Sopoćki.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1936; str. 279 i 9nl.

Wielcy panowie szczepu psów



DIOGENES
bez rodowodu



AMI
cocker



POUILLOU
dog bordoski



LOLA
cocker-spaniel



SUGAR BROWN
badlington



PELUCHE
chow-chow



HOUTCH i LOLA
cocker-spaniele



KID i DOT
scotch-terriery



MAX i MAURICE
jamniki

Miłośnikom psów należy polecić przepiękny cykl fotografij Ylli, wydany w Paryżu p. t. „Chiens" *). Wyjmujemy z niego szereg zdjęć i przedmowę znanego poety francuskiego, urodzonego w Montevideo, Supervielle'a:

„Un chien regarde bien un évêque"
(przysłowie)

Bardzo mi się to podoba, że na okładce tej książki niema nazwiska ani fotografa, ani wydawcy, ani — rzecz zrozumiała — autora przedmowy. Zaprasza nas ona do kochania psów dla nich samych. Na to zupełne usunięcie się w cień przed zwierzęciem czekaliśmy od wieków. Czas już aby psy, jedynie dzięki swoim podobiznom, prowadziły nas tam gdzie zechcą. Co za odpoczynek dla ducha nie widzieć w tym albumie ani jednego człowieka, nawet karzełka. Mamy tu klub bardzo wyłączny, tylko dla psów. Jakżeż łatwo zrozumieć to usunięcie nabok zawsze pełnych wymagań panów.

Człowiek zbyt często pokazuje, że jeśli pies jest jego przyjacielem, jest nim za cenę niewoli. „Do nogi! A przyjdziesz tu zaraz! Kładź się! Pokaż co umiesz!" — oto jak do nich mówimy. Coby powiedzieli nasi przyjaciele ludzie, nawet najzgodliwsi, gdybyśmy i do nich odzywali się w ten sposób! Przyznajmy coprawda, iż pies zdaje się być zadowolony z tego rodzaju stosunków z rozdawcą obroży. Wołacie go? Przychodzi z taką miną jakby był cały na wasze usługi, on, jego zęby, jego muskuły, jego krew, wszystko to gotowe na każde poświęcenie.

Przy niektórych psach tego albumu — zawdzięczamy go p. Raymondowi Gil — mamy wrażenie, jakby pozowanie przed objektywem sprawiało im przyjemność. Świadkiem tego te dwa cockery, Houtch i Lola, matka i córka, które tak zabawnie rozsiadły się, jedna przy drugiej. Ale to niewątpliwie tylko złudzenie. Psy na szczęście nie wiedzą jeszcze, co to jest objektyw, i mam w Bogu nadzieję, że nigdy nie znajdzie się sposób na uświadomienie im, że się je prowadzi do fotografa, ani też że ich podobizny zasługują na uwiecznienie w książce.

Zwierzęta pędzą życie bezpieczne od sławy, a nawet od rozgłosu. Są to narkotyki przeznaczone wyłącznie dla ludzi. Choćbyśmy się postawili na głowie, nigdy nie doprowadzimy do tego, aby koń pojął, że jest szlagierem sezonu, albo słoń — że powinien być dumny z tego, iż nosi maharadżę. Sława nigdy nie obudzi w nocy charta i nie każe mu szczekać z radości, podobnie jak nie przeszkodzi spać jego mniej szczęśliwym towarzyszom.

Tem bardziej żarty człowieka nie dotkną zwierzęcia w jego wielkiej godności, w jego dobrze obwarowanym honorze istoty, która się nigdy nie śmieje.

Na jednem ze znakomitych zdjęć panny Ylla czytamy „Dosg bar". Idzie tu o mały, kamienny wodopój. Ale scotch-terrier, objekt tego żartu, daleki jest od wspólnictwa w popełnianiu go! Jak on go lekceważy!

Istnieją psy, których spojrzenie świadczy o pewnem, wcale żenującem człowieczeństwie, tak jakby mogły wyjść ze swojej skory i oblec się w naszą. Naprzykład jamniki, tak biedne na swych łapach, z których zdają się być mocno niezadowolone. Gdy są w otwartem polu, muszą kiedy polują, głosem dawać znać o sobie. Inaczej nie wiedzielibyśmy nawet, gdzie się znajdują.

Tylko psy i małpy mają czasem to spojrzenie, które wygląda jakby było zapożyczone od nas — jeśli to my nie wzięliśmy go od nich — gdy idzie o wyrażenie czułości, bólu, nędzy istnienia. Miałbym ochotę powiedzieć, że są to jedyne zwierzęta, które wiedzą, iż nie są ludźmi, i które nam zazdroszczą, gdyby nie należało mieć się na baczności wobec tego przyzwyczajenia, polegającego na wmawianiu wszystkiemu naszego wścibskiego człowieczeństwa.

Co za szlachetność, co za rasa w psach tego zbioru! Wszystkie one, albo niemal że wszystkie, są czystej krwi. Ten chart jest księciem, ten chow-chow baronem (jeśli i on także nie jest księciem). Mają one drzewo genealogiczne, troskliwie przechowywane przez ich właścicieli. Zresztą nie trzeba papierów. Dobra rasa promieniuje ze zwierzęcia jeszcze wyraźniej niż z człowieka. Bije ona z nagiego psa, podczas gdy człowiek objawia ją wyłącznie sposobem noszenia ubrania (nie wgłębiajmy się zbytnio w trudności, jakieby powstały przy wykrywaniu rasy jaśnie pana całkiem nagiego i nie ogolonego).

Jeden tylko pies nie jest tutaj rasowy. Łatwo go poznać. To ten który jest uwiązany za szyję łańcuchem i który szczeka. Nazwano go — potomka cockera, jak się zdaje, i ostrowłosego foxa — Diogenesem. Podobnie jak Paul Léautaud w przedmowie do księgi kotów, miałbym ochotę żałować, że nie znalazło się w tym albumie miejsca na inne bastardy, gdyby nie były one naprawdę mniej fotogeniczne niż psy rasowe. Co nie przeszkadza, iż te zwierzęta, których wspomnienia mnie nawiedzają, były prawie wszystkie mieszańcami. Myślę o tych psach handlarzy jarzyn, zaprzężonych do jakiegoś wózka z przedmieścia, o psach brukselskich mleczarzy, które szczekają tak wcześnie rano, i o was przedewszystkiem, wolne psy pampasów, które zdajecie się wynurzać z piasczystych śladów, aby milami towarzyszyć jeźdźcowi, o tobie niewiadomy, zadyszany wyżle hiszpański, którego nigdy nie widziałem w estancji, a któryś pewnego dnia o świcie pchnął niedomknięte drzwi, aby długo pić wodę z mojego dzbanka i odejść. Ale to są psy nietyle dla zdjęć fotograficznych, co dla wspomnień, nostalgji, milczenia. Więc bez wyrzutów sumienia polecam waszemu podziwowi przedstawionych tu wielkich panów szczepu psów.

*) Chiens par **Ylla,** présentés par **Jules Supervielle.** Paryż, Editions O. E. T.; str. 14nl. i tabl. 16.

Psi cmentarz

Nie, nie będzie tu mowy o paryskim cmentarzu dla psów, gdzie pod granitowemi tombeaux śpią doczesne szczątki ruchliwych maskotek, któremi smukłe paryżanki zaspokajają nienasycony głód macierzyństwa, aby potem, przyszedłszy z bukiecikiem fiołków w niedzielne przedpołudnie, zadumać się przez kwadrans nad znikomością bytu. Nie, nie o tym cmentarzyku będzie tu mowa.

Nasz, warszawski cmentarz dla psów, jest instytucją miejską, a więc deficytową, a nie jakiemś tam prywatnem przedsiębiorstwem, obliczonem na zysk i snobizm. Ani z wyglądu, ani z charakteru nie przypomina zresztą znanego szeroko paryskiego cimetière. Założono go za czasów okupacji niemieckiej, daleko za miastem, ale w ostatnich kilku latach miasto przyciągnęło go ku sobie długiemi ramionami fatalnie zabrukowanych ulic.

Od jednego z ostatnich przystanków tramwajowych idzie się jeszcze dobrych kilkaset metrów wzdłuż ogrodzeń z drutu kolczastego, który oddziela od polnej drogi (zwanej szumnie „ulicą" Elekcyjną) zagony, oddychające sielskim zapachem świeżo nawiezionego gruntu. Jesteśmy wreszcie na miejscu.

Bramy wejściowej nie strzeże kamienny anioł z płomienistym mieczem, lecz tablica z rzeczowym napisem: „Miejskie Zakłady Utylizacyjne". Słodkawy, mdły odór świeżej krwi uderza już od wejścia w sposób natarczywy i towarzyszy nam w różnem natężeniu podczas całej wędrówki po tem dominjum śmierci, jak nieodstępny węchowy akompanjament. Źródłem tych wyziewów są całe góry krwawych odpadków mięsnych, zwożonych tu codziennie w nieprawdopodobnych wprost ilościach z rzeźni dla racjonalnej utylizacji.

Ale gdzież psy? Kiedy otwierają się drzwi parterowego budynku, zrywa się nagle oszołamiająca burza szczekania. Zza krat niewielkich klatek zrywają się uwięzione zwierzęta, przysiadają na ziemi, znów skaczą naprzód, ujadając niespokojnym chórem. W tem nerwowem szczekaniu jest nietylko protest przeciwko uwięzieniu i tęsknota za światłem i powietrzem, ale również obawa przed nieznanemi skutkami, jakie sprowadzić może pojawienie się człowieka. Po chwili, akurat właśnie wtedy, gdy my oswajamy się z panującym tu mrokiem, psy oswajają sie z naszą obecnością. Kolejno milkną prawie wszystkie, lecz bacznie śledzą nasze ruchy, pełne czujnej, napiętej uwagi dla tego co za chwilę może się stać.

Ostry odór moczu, dwa rzędy klatek i całe prowizorjum pomieszczenia przypomina wnętrze któregokolwiek pawilonu w ogrodzie zoologicznym. Tylko napisy na klatkach odbiegają od ogólnego stylu, podając do wiadomości, zamiast łacińskich nazw klasyfikacyjnych, — nazwy jednego z siedmiu dni tygodnia, tego mianowicie, kiedy niezawodna siatka rakarza ułowiła samotnego włóczęgę na ulicach miasta. Codziennie przybywa tu sześciu siedmiu kamratów, zespolonych wspólną namiętnością do swobodnej łazęgi po mieście i wspólnym losem, oczekującym podstępnie tuż za progiem klatki.

Wśród skazańców, wyczekujących śmierci w tym niesamowitym domu przedpogrzebowym, szukamy napróżno psów rasowych: poza jedynym skarłowaciałym buldogiem francuskim są tu dziś same kundle. Czyżby psy rasowe nie zażywały nigdy samotnych przechadzek w godzinach, kiedy samochód rakarni objeżdża ulice Warszawy? Okazuje się, że poza emisarjuszami miejskimi, obdarzonymi niepopularną nazwą, znacznie skuteczniej działają przedsiębiorcy prywatni, którzy (ciekawy przyczynek do charakterystyki etatyzmu!) wyłapują dość wcześnie psy rasowe i sprzedają je potem „z wolnej ręki" na placu Kercelego. W tych warunkach ilość psów, wykupywanych w zakładach utylizacyjnych za pobraniem dziesięciozłotowej grzywny i kosztów utrzymania (à propos: złotówka dziennie za kawałek padliny końskiej wydaje mi się sumą nieco wygórowaną — za te pieniądze można mieć spory befsztyk w dowolnej restauracji), jest tak nieznaczna, że prawie wszystkie psy po trzydniowym pobycie zostają stracone czy też raczej, używając przyjętego tu terminu, — „zniszczone".

Bardziej jeszcze przygnębiająco działa drugie pomieszczenie, w którem zamknięte są w izolatkach psy, podejrzane o udzielającą się chorobę, głównie o parch, nosaciznę i wodowstręt. Niektórzy z pacjentów odznaczaja się coprawda hałaśliwym temperamentem, ale większość siedzi smutna, osowiała i wystraszona w najciemniejszych kątach klatek, dając już swojem zachowaniem się dowód, że ta kwarantanna nie była bynajmniej nieuzasadnionym środkiem zapobiegawczym.

Dla „uczczenia" gościa jeden z psów ma zostać „zniszczony", jeżeli oczywiście gość życzy sobie asystować przy egzekucji. Gość nie życzy sobie tego coprawda i najchętniej uwolniłby wszystkie zdrowe psy bez obawy o to, że zawładną ulicami, jak w niektórych dzielnicach Konstantynopola. Ostatecznie jednak przyszedł tu przecież poto, aby zapoznać się z całością funkcyj zakładu, a przytem jego sprzeciw przedłużyłby jedno psie życie tylko o kilka godzin...

W kącie dużej hali otwiera się niewinną napozór skrzynkę, ukrywającą narzędzia kaźni. Już błyszczy na kamiennej podłodze rudy prostokąt mosiężnej blachy, odizolowanej odspodu porcelanowemi nóżkami. Blachę łączy się z prądem o wysokiem napięciu.

Zakłady utylizacyjne tracą psy przy pomocy prądu elektrycznego, mimo iż wszyscy przyjaciele zwierząt zgodzili się za Axel Munthem, że najmniej bolesna jest śmierć zadana znienacka wystrzałem z rewolweru, przytkniętego odtyłu w okolicy ucha. Kto wie jednak, czy w wyborze środka nie odegrała tu roli cena kuli, która kierownikom zakładów wydała się zbyt wielka w porównaniu z przedśmiertną męką jakiegoś kundla.

Czekamy trochę niespokojnie na delikwenta. Jest to mały, wychudzony psiak, prowadzony na długim kiju, który zaczepiono o rzemień opasujący mu szyję. Idzie przez podwórze wolno, z ufnością, nie ociągając się zupełnie, oszołomiony świeżem powietrzem, za którem tęsknił w ciągu trzech dni uwięzienia. Nie przeczuwając nic złego, merda przyjaźnie ogonkiem, marząc może o powrocie do pana, z którym czuje się teraz związany silniej niż kiedykolwiek. Mały, nieposłuszny, lekkomyślny psiak.

Zwabiony miłym, drażniącym zapachem rzeźniczych odpadków, obok których przechodzi, zatrzymuje się na chwilę, węsząc, z nosem przytkniętym do okrwawionej nerki bydlęcej. Pociągnięty silniej — idzie dalej, rezygnując bez widoczniejszego żalu ze znakomitego śniadania.

Dopiero na progu hali złe przeczucie paraliżuje go w miejscu, obezwładnia członki, powstrzymuje pulsowanie krwi i mrożącym chłodem podsuwa się pod psie serduszko. Kilka postaci ludzkich, zgromadzonych dokoła błyszczącej blachy, nie może wróżyć nic dobrego. I raptem — uniesiony wgórę, spada lekkim ciężarem na naelektryzowany mosiądz. W tej samej chwili do pyska zbliża się duża, metalowa warząchew, połączona z prądem. Wypręża się, odrywając w bezsilnym podskoku przednie łapy od fatalnej blachy, i w tym skurczu zastyga rażony śmiertelną iskrą.

Nie ma nawet dość czasu, aby jęknąć. Po sekundzie, a najwyżej dwu, psie zwłoki leżą już odrzucone na kamienną podłogę. Jeszcze kilkakrotnie drgają mu łapki... Po chwili wąska struga moczu, oddawanego w pośmiertnym bezwładzie, jest już ostatnim symptomem życia które w nim było.

Tak kończy się żywot nieposłusznych psów, które nad życzliwą opiekę ludzką przełożyły rozkosze samotnych wędrówek. Żywot, ale nie przeznaczenie. Bo przeznaczeniem ich jest „służyć" nadal, nadal przynosić pożytek, nadal okupywać sobą sam fakt swej psiej egzystencji. Ściągnięta starannie skóra pójdzie po wyprawieniu na teczki, torebki, portfele, portmonetki i paski, a resztę „zutylizuje" posłuszna maszyna, odciągając centryfugą tłuszcz na mydło i świece, susząc i mieląc resztkę na mączkę mięsno-kostną.

Wśród ogromnych zwałów tej brunatnej mączki świeci gdzieniegdzie biały odłamek niezmielonej kości, ostatnie wcielenie buntowniczej duszy nieposłusznego psa

Dober-man.



Przyjaźń



Na posterunku

Psi „institut de beauté"

Prócz wszystkich usług, jakie pies oddaje w swej wiernej służbie u człowieka, jedną z ważnych jego zalet jest dekoracyjność. Pies jako szczegół elegancji mus mieć wygląd godny swej rasy, podniesiony zabiegami toaletowemi, fryzjerskiemi,



Przyjemność rzecznej kąpieli

a nawet operacjami kosmetycznemi do szczytów wytworności. W wielkich miastach Europy zachodniej, prócz restauracyj dla czworonożnej arystokracji, znajdują się również specjalne zakłady fryzjerskie — wielkie instytuty psiej piękności, którym bogaci miłośnicy psow dostarczają klienteli, przywożonej niejednokrotnie luksusowemi limuzynami do drzwi zakładów, skąd po uskutecznieniu zabiegów wychodzą, „zrobione na bóstwa", czworonożne gwiazdy, biorące pierwsze nagrody na konkursach psiej piękności, organizowanych w ramach wielkich psich wystaw a gromadzących cały high-life podczas pokazów premjowanych ulubieńców.

Psy nie potrafią tak dbać o czystość i wygląd swego ciała jak wiecznie zwracające uwagę na swoją powierzchowność koty, umiejące nawet przeglądać się w lustrze przy wykańczaniu toalety, toteż muszą być pielęgnowane przez swych właścicieli. Pies musi być codziennie czesany rzadkozębnym grzebieniem, a następnie miękkowłosą szczotką, co tydzień korzystać z ciepłej kąpieli, nie zaniedbując też koniecznego nieraz „pedicure".

Każdy pies musi być inaczej czesany i zdobiony zależnie od rasy i pokroju. Skyeterrierowi robi się na linji grzbietu „rozdziałek", pieskowi maltańskiemu związuje się na główce kolorową wstążką filuterny, „napoleoński" kosmyk włosów, pudla strzyże się, robiąc go wedle wszelkich reguł fryzjerskich „na lwa", buldogi francuskie upiększa się naszyjnikiem z nastroszonej „na jeża" sierści borsuczej.

Czworonożny „lew salonowy" musi być szczególnie pielęgnowany w zimie, gdyż kąpiel odtłuszczająca jego włosy i skórę pozbawia chwilowo psie futra spoistości, co może narazić nawet bardzo kudłatego wytwornisia na przeziębienie. Dlatego też kąpiel należy urządzać wieczorną porą, aby odświeżony nią szczekający gentleman nie narażał swego cennego zdrowia wychodzeniem tego dnia na spacer.

Pieska kąpie się w letniej wodzie o temperaturze 25 — 37° C, używając przetłuszczonego mydła i uważając, aby piana mydlana nie dostała się do jego oczu. Po kilkakrotnem namydleniu psa spłókuje się jaknajdokładniej mydło chłodniejszym nieco tuszem, a wyłaniającego się z piany jak Venus czyściutkiego pieska po doraźnem osuszeniu owija się w prześcieradło lub w płaszczyk kąpielowy i dopóty pilnuje do póki całkowicie nie obeschnie.

Pilnowanie faworyta jest konieczne, gdyż tradycjonalistyczne pieski mają od wieków zakorzeniony ciekawy zwyczaj tarzania się po dobroczynnem działaniu łaźni, tak jak podczas układania do snu musi szanujący się piesek wykonać kilka obrotów wkółko zanim wygodnie się ułoży. Nawet minjaturowe pieski, nie przypominające w niczem swego brata wilka, nie zapominają przed udaniem się na spoczynek wykonać kilku „pas" tego przedhistorycznego walczyka wszechkanidów.

Często u pieszczochów, wychowanych w sybarytyzmie wielkomiejskich buduarów, zachodzi konieczność przycięcia pazurów, gdyż nieścierane dostatecznie paznokcie mogą się zakrzywiać, a nawet wrastać w ciało. Dlatego też należy psie pazury od czasu do czasu czyścić, używając jako kosmetycznego środka octu, w którym zwilża się szmatkę, służącą do tego swoistego „pedicure", a zbyt długie pazury należy przycinać szczypczykami.

Może też zajść potrzeba zastosowania nowoczesnych zdobyczy techniki dentystycznej. Dopóki psie zęby są białe jak kość słoniowa, nie potrzebują naogół pielęgnacji. Gdv jednak w starszym wieku pokryją się kamieniem nazębnym, może zajść potrzeba usunięcia tego wapiennego osadu, drażniącego dziąsła i okostną i mogącego wywoływać stany zapalne i ciężkie powikłania. Jeśli zachodzi potrzeba usunięcia zębów, proste zabiegi dentystyczne wykonywaja same psy „we własnym zarządzie", wyłamując sobie zwłaszcza mleczne zęby podczas ich zmiany na stałe i gryząc w tym celu kości i twarde przedmioty. W poważniejszych jednak wypadkach musi interwenjować dentysta. Psy nie są podczas takich operacyj spokojnymi ani też bezpiecznymi pacjentami, toteż zabiegi takie wykonywa sie przeważnie pod narkozą.

O wiele częściej stosowana jest weterynaryjna chirurgja kosmetyczna, która wyprzedziła przynajmniej o dwadzieścia wieków odnośną gałąź medycyny. Przyzwyczailiśmy się tak do tego „poprawiania" natury, że doprawdy trudno sobie dzisiaj wyobrazić nowoczesnego foxterriera ostrowłosego bez obciętego ogona. Sytuacja stała się tak paradoksalna, że nie mógłby ukazać się spokojnie w przepychu nieobciętego ogona doberman, bliski kuzyn owczarka alzackiego, któremu wolno cieszyć się długim, szablastym ogonem. Nie otrzymałby też nagrody na psich konkursach piękności nikt z tak dzisiaj modnej rodziny terrierów, gdyby zaprezentował się sędziom bez skróconego ogona. Utarło się bowiem przekonanie, że do futurystycznej całości i nowoczesnego „aerodynamicznego" pokroju tego psa konieczny jest kurtyzowany kikut, będący szczątkowem wspomnieniem ogona.



Długowłose piękności skye-terriery czeszą się z „rozdziałkiem"

Pęd do obcinania i poprawiania psiej sylwetki nie zlokalizował się jednak na ogonie. Podatne do wykonywania zabiegów chirurgji kosmetycznej okazały się jego małżowiny uszne. Toteż ze szpilkowato wyostrzonemi uszami musi paradować potężny dog, któremu mimo nurtującego prądu redukcyj i obcięć pozostawiono ogon w jego całej okazałości.



Czworonożny pacjent u dentysty

Zdobycze nowoczesnej weterynarji pozwalają nawet na odmłodzenie psa. Odwieczny problem Fausta doczekał się i w Polsce realizacji, a jeden ze świeczników polskiej medycyny weterynaryjnej przeprowadził już szereg udałych operacyj, przywracając m. in. zdolność do służby spensjonowanym psom policyjnym.

Prócz „osobistej" higjeny psa, należy zwracać baczną uwagę na czystość jego ubioru, przyborów fryzjerskich i toaletowych jak również na schludność psiej sypialni. Szczególnie pilnie należy tępić dokuczliwe pasorzyty zewnętrzne, reprezentowane najczęściej przez pchełki. Proszek perski, olejek anyżowy czy też ocet sabadylowy przy odpowiedniej równoczesnej pielęgnacji wypłoszą maleńskich korsarzy, żyjących rozbojem na przedstawicielach psiego rodu.

Krótkowłose psy ubiera się w zimie często w czapraczki lub sweterki. Miłośnicy psów jednak, wiedzeni przeczuloną troskliwością, stroją często w ten naogół brzydki psi strój nawet duże kosmate psiska, chronione dostatecznie przez samą naturę.

Tak ze względów higjenicznych jak i psychologicznych powinien mieć pies swój własny stałv kąt, wyścielony grubą derką, matą lub ostatecznie siennikiem, które należy codziennie trzepać i wietrzyć. Małe pieski mogą spać w wytwornych koszyczkach lub minjaturowych sypialniach, które również nie mogą opierać się obowiązującym nakazom higjeny.

Byłoby jawną niesprawiedliwością nie wspomnieć o parjasach psiego rodu — psach łańcuchowych, odbywających często swoją „psią" służbę w „psi" czas słot czy mrozów. Nie wolno zapominać o obowiązku utrzymania prymitywnej bodaj czystości i u nich.

Psy te w upalnie dnie lata tęsknią za kąpielą, wyzyskując nieraz lada okazję, aby podczas rzadkich spacerów zanurzyć się w wodzie napotkanej rzeki lub stawu. Samo jednak pływanie psa nie może zastąpić racjonalnej kąpieli z użyciem mydła i nie wystarcza do zapewnienia minimum czystości zewnętrznej szacie psa. Częste kąpiele są więc w lecie wskazane.

Inaczej przedstawia się ta kwestja zimą, gdy stróżujący pies nie może być kąpany pod rygorem przeziębienia, a powinien korzystać przynajmniej z dobrodziejstwa czesania. Psy łańcuchowe często wynagradzają sobie ten brak kąpieli tarzając się w śniegu.

Budę psią należy starannie zabezpieczyć, pamiętając o tem, że psi domek jest „centralnie" ogrzewany jedynie ciepłem ciała swego lokatora. Do świeżego siana, którem wyściela się wnętrze budy, należy dodawać wysuszonych liści mięty, piołunu lub macierzanki, albo też skropić je olejkiem anyżowym, co skutecznie wystrasza pasorzyty zewnętrzne.

Rozpiętość warunków życiowych wśród psów jest olbrzymia, równie jak u ludzi. Od pieszczochów, dekorujących łaskawie swoją osóbką wnętrze buduaru, aż do psów, pracujących przy budzie 24 godziny na dobę, sięga amplituda psiej skali społecznej. Wszystkie jednak mają równe prawa do higjeny, którą im przed udomowieniem zapewniała w dostatecznej mierze matka-natura.

Mieczysław Cena, dr. med. wet.

Wiadomości zagraniczne

Pies w dawnem prawie angielskiem. Dawne prawo angielskie nie uznawało kradzieży psów i nie znało kary za taką kradzież. Przepis prawny z r. 1592 uzasadniał to w ten sposób, iż „psy są istotami tak nędznemi z natury, iż nie można w związku z niemi popełnić żadnego przestępstwa i nikt nie może z ich powodu utracić życia albo (zgodnie z owoczesną karą za kradzież) członków". Dzisiaj za kradzież psa pokutuje się w Anglji 6 miesiącami więzienia, albo grzywną, która nie może być wyższa niż wartość psa plus 20 funtów. Jeśli złodziej jest recydywistą, zostaje skazany na półtora roku więzienia

Nazizm i psy. Niemieccy SS wystąpili z projektem zniesienia psich cmentarzy. Zdaniem projektodawców psie cmentarze z nagrobkami i napisami na nich rażą i drażnią uczucia religijne ludzi. „Eleveur" przypuszcza, że idzie tu o co innego: napisy nagrobne na psich cmentarzach wychwalają najczęściej psią wierność, a ponieważ „ludziom spod znaku 30 czerwca uczucie wierności nie jest znane" — da liegt der Hund begraben.

Pies w Chinach. Z ciekawego artykułu C. A. S. Williamsa o psach w Chinach dowiadujemy się, iż Chińczycy używają psów przedewszystkiem do pilnowania oraz do uprzątania padliny. Istnieje także w Chinach zwyczaj jedzenia psów; psy takie żywi się ryżem. Wejście obcego psa do domu uważa się w Chinach za dobry omen (podczas gdy kot zapowiada nędzę), znajdujemy też psa na wielu chińskich obrazach kultowych. W historji zachowała się wiadomość o psie-faworycie cesarza Ling Ti (żył w II w.), który otrzymał od cesarza najwyższą ówczesną godność literacką, kapelusz stopnia Czin Hsien. Najstarsze wiadomości o pekińczykach mamy z w. VII. Nazywano je wtedy „pai" i opisywano w następujący sposób: „psy o krótkich nogach, krótkiej głowie, które mogą się zmieścić pod stołem" (Chińczycy używali podówczas niziutkich stołów.



rys. Lisl Weil



rys. Lisl Weil

Jak długo psy żyją? Przeciętny wiek psa wynosi 10 lat; niektóre gatunki terrierów żyją po 15 lat. Bardzo długo żyją psy chow-chow. W zupełnie wyjątkowych warunkach pies może dożyć do 25 lat. Tak np. znany i popularny w Anglji pies Jack of Putney, który w czasie wojny tępił w okopach szczury (zagryzł ich ponad tysiąc), przeżył 22 lata, mimo że z wojny wyszedł inwalidą. Dla porównania z innemi zwierzętami domowemi można przytoczyć, iż koty żyją 9 do 12 lat, konie do 30, wyjątkowo do 50 lat, bvdło rogate do 10 — 11 lat (chociaż znane są przykłady krów, żyjących 20 lat), owce 6 — 7 lat. Najdłużej, bo zgorą 100 lat, mogą żyć papugi.



rys. Lisl Weil

Weterynaryjna ekspedycja abisyńska. Anglicy organizują obecnie specjalną ekspedycję weterynarzy „Veterinary Unit" która będzie wysłana do Abisynji dla opieki nad poranionemi w wojnie zwierzętami. Angielskie pisma kynologiczne rozpisały już na ten cel subskrybcję.

Ocalony z płomieni. Gazety angielskie podnoszą bohaterstwo 70-letniej staruszki pani Sarah Lowndes, która gdy w domu jej w Bootle wybuchł pożar, wydostała stamtąd swego 79-letniego męża, a następnie rzuciła się w ogień i wyniosła z płonącego domu swego pekińczyka.

Pięćdziesięciolecie „Eleveura". Paryski „Eleveur" pięknym gwiazdkowym zeszytem zakończył w ub. r. swój pięćdziesiąty rocznik. Założony w r. 1885 przez lekarza weterynarji Pierre'a Mégnin, po jego śmierci był prowadzony przez jego żonę, dziś redaktorem pisma jest syn jego Paul Mégnin. „Eleveur" uchodzi za najpoważniejszy francuski organ kynologiczny.

Monografja psów francuskich. Brukselski „Elevage" wydał specjalny numer gwiazdkowy o znacznie zwiększonej objętości, poświęcony psom francuskim.

Bilans pokazów niemieckich z ub. r. W Niemczech odbyło się w ub. r. 20 pokazów, na których wystawiono zgórą 11 000 psów.

Wystawa psów w Moskwie. W Moskwie urządzono wystawę psów, ciekawą szczególnie w dziale psów myśliwskich „A więc są jeszcze psy w Rosji — komentuje tę wiadomość brukselski „Elevage" — i nie wszystkie zostały zjedzone, jak to nam chciał wmówić pewien gatunek prasy".

Psy Jerzego V. Londyński „The Dog Illustrated" przynosi artykuł mjr. Mitforda Brice'a o psach króla Jerzego V. Król był wielkim miłośnikiem psów. Na dworze jego istniał specjalny urząd „głównego psiarza" („head kennelman"). Ulubieńcami króla byli w latach 1893 — 1904 owczarek Heather (Wrzos), po nim do r. 1913 foxterrier Happy (Szczęśliwy), po nim do r. 1928 terrier Jack, po nim do r. 1931 pies rasy „cairn" Snip (Okrawek), a po nim również „cairn" Bob, który przeżył króla. Mjr. Brice zapowiada wydanie osobnej książki o psach królewskich.

Kiedy król Edward VIII był mały. Jedno z angielskich pism przypomina, iż kiedy król Edward VIII był mały, zapowiadał, że po wstąpieniu na tron 1) wyda prawo, zakazujące obcinania psom ogonów, 2) zakaże nakładania uprzęży na konie, 3) zrobi koniec z wszystkiemi grzechami na świecie. Zobaczymy, czy król obietnic swoich dotrzyma.



rys. Lisl Weil

Skrzynka do listów

Anna Pelcowa w Sulejówku. Na samym końcu „skrzynki" w nr. 2 „Przyjaciela Psa" zamieściliśmy na prośbę Pani wzmiankę o jej piesku Pazurze, poszukującym dla siebie kandydata na dobrego właściciela. Zaznaczyliśmy, że Pazur będzie stanowił premjum dla najpilniejszego czytelnika naszej „skrzynki". I rzeczywiście został on ofiarowany pierwszej osobie, która się zgłosiła. Szczęśliwym zwycięzcą naszego „konkursu" okazał się obywatel z okolic Sulejówka, którego 6-letni syn znalazł w tym miłym piesku znakomitego towarzysza zabaw.

Piesek, korzystając z niedużej odległości, dzielącej domy byłych i obecnych jego panów, odwiedza swoich wychowawców, przyczem przychodzi punktualnie na stację o tej godzinie, o której jego pierwszy pan przyjeżdża codziennie pociągiem.

Charakterystyczne jest, że w sprawie Pazura napłynęło bardzo wiele ofert, a najserdeczniejsza od pewnego samotnego inwalidy z okolic Białegostoku, która niestety, nie mogła być już uwzględniona.

Pazur wraz ze zmianą swej przynależności zmienił również swoje imię na Bary, stając się w ten sposób imiennikiem najsłynniejszego psa bernardyńskiego, który należąc do czworonożnego alpejskiego pogotowia ratunkowego, uratował życie 40 ludziom, zbłąkanym na przełęczy St. Gothard.

Przyjaciółka psa w Mysłowicach. Dziękujemy Pani za miłe słowa uznania. Z listu Pani dowiadujemy się, że chce Pani nabyć „wilczura" — owczarka alzackiego i osobiście wychować go i wytresować.

Pochwalając trafny wybór rasy, zaznaczamy, że okres rozpoczęcia nauki zaczyna się w wieku około 7 miesięcy życia, gdy dojrzewający pies zaczyna się orjentować w stawianych mu wymaganiach. Okres psiego dzieciństwa zupełnie nie nadaje się do tresury, pies zaś powinien w tym czasie otrzymać tylko podstawy wychowania. W okresie tego „przedszkola" należy dbać o należyty rozwój tak umysłowych jak i fizycznych zalet przez odpowiednie żywienie i troskliwą pielęgnację.

Należy pamiętać, że zbyt wczesną lub nieumiejętną tresurą można łatwo „zahukać" nawet inteligentnego psa. Psychika psia bowiem, to instrument bardzo subtelny, wymagający od nauczyciela delikatnego obchodzenia się z wychowankiem. Łagodna stanowczość i cierpliwość stanowią główne zalety tresera-wychowawcy. Kto ich nie posiada, powinien raczej zrezygnować z aspiracyj psiego nauczyciela, gdyż tresura w jego wydaniu będzie nadawała się do interwencyj stowarzyszeń ochrony zwierząt.

Nie należy wymagać od psa natychmiastowych postępów, pamiętając, że umysł czworonożnego ucznia, który przecież musi odgadywać życzenia swego pana, wymawiane w nieznanym mu języku, męczy się bardzo szybko. Pozatem jeśli nie chce się stracić zaufania u psa, nie można stosować bicia jako środka dydaktycznego. Maksyma Józefa II, twierdzącego, że żołnierz bardziej powinien się bać swoich przełożonych niż wrogów, nie może mieć zastosowania w psiej szkole.

Radzimy Pani kupić psa „z dobrej rodziny" z rodowodami, gwarantującemi jego pochodzenie od rodziców, których wysokie walory uzyskano dzięki celowej selekcji związków hodowlanych. Dwumiesięczny czy trzymiesięczny szczeniak będzie miał czas zaaklimatyzować się w nowem miejscu, a okres jego przedszkola będzie Pani mogła poświęcić nauce psiej pedagogji.

Osobiste podawanie mu pokarmu i wyprowadzanie go na spacer pozwolą młodziutkiemu adeptowi nauki z rodziny czworonożnych Sherlocków Holmesów zrozumieć, kto objął nad nim władzę. Nie należy też zezwalać obcym osobom na rozpieszczanie psa, aby nie miał on wobec nich żadnych grzecznościowych zobowiązań.

Z literatury polskiej, dotyczącej tresury psa, należy wymienić: Majewskiego „Tresura psa pokojowego" i Blacka „Tresura psa". Z bogatej literatury niemieckiej wymieniamy książkę, napisaną przez inicjatora związku hodowców psów-owczarków (Verein für Deutsche Schäferhunde") von Stefanitza: „Die Erziehung und Ausbildung zum Begleit- und Schutzhund des Liebhabers" i z najnowszych Hadera: „Wie ich meine Hunde dressierte", która doczekała się sześciu wydań. Istnieje też specjalna książka, omawiająca szczegółowo całość zagadnień, związanych z owczarkiem alzackim, p. t. „Der deutsche Schäferhund in Wort und Bild".

Chory spanielek w Stanisławowie. Nie radzimy leczyć chorego na krzywicę pieska domowemi środkami — siarką i fosforem — tak ze względów lekarskich jak i praktycznych.

Siarka podawana dowewnątrz zmienia się w jelitach pod wpływem alkalicznego środowiska na połączenia rozpuszczalne, a głównie siarkowodorów. Gaz ten drażni błonę śluzową przewodu pokarmowego, wywołując wzmożenie się ruchów robaczkowych jelit. Najważniejszą wadą leczenia siarką jest cuchnący i przykry zapach wydzielin i wydalin czworonożnego pacjenta, nie biorąc już pod uwagę faktu że „leczenie" psa niekontrolowanemi ilościami siarki może być dla jego zdrowia nieobojętne.

Fosfor proponowany przez Panią jest jedną z najsilniejszych trucizn i może być podawany jedynie w dawkach 0,0005 — 0,002, dlatego też nie polecamy go do domowego leczenia spowodu zbytniego niebezpieczeństwa zatrucia przy nieaptekarskiem dawkowaniu tego leku-trucizny. Większe bowiem dawki fosforu wywołują śmiertelne zatrucia.

Podaje się go zawsze w roztworze olejowym. Zazwyczaj roztwór fosforu w oliwie 1 : 1 000 (!) rozcieńcza się przez dodanie tranu i podaje w bardzo małych ilościach. Fosfor, stosowany przez laików w stanie nierozpuszczonym i w dużych ilościach, jest wysoce szkodliwy dla pacjentów i wychodzi często na szkodę zdrowiu czworonożnych ulubieńców.

Z wymienionych względów nie radzimy leczyć psa wyżej wskazanemi środkami, doradzając natomiast odżywianie go surowem mięsem mielonem z surowemi jarzynami i mlekiem, które należy podawać prócz normalnego pożywienia. Pozatem należy stosować codziennie tran i sole fosforowo-wapniowe, ewentualnie mączkę kostną, które miesza się z jadłem. Sprawy żywienia psa omówiliśmy obszernie w nr. 2 „Przyjaciela Psa".

Dr. M. C.

Dn. 10 marca b. r. o g. 20 w lokalu Polskiego Tow. Łowieckiego (Nowy Świat 35) dla członków Klubu Settra Angielskiego w Polsce i wprowadzonych gości zostanie wygłoszony przez p. płk. Błockiego odczyt na temat „Psychologiczne podstawy tresury psa", zawierający dane o rewelacyjnych wynikach tresury psów, opartej na metodzie Konrada Mosta. Na zakończenie, dla zawiązania szerszej łączności między miłośnikami psa myśliwskiego, odbędzie się biesiada towarzyska.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1.20 kwartalnie, zagranicą zł. 1.50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe. Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście Kolumna ma 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16 — 17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Drukarnia Współczesna, sp. z o. o., Warszawa, ul. Szpitalna 10.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI